

Prenumerata w Polsce: Kwart. bez odn. w miejscu 4875·— Mk. z przes. 4940·— Mk. Półrocznie 9880·— Mk. Rocznie 19760·— Mk. **Ameryka:** 8 dolarów rocznie. Numer pojedynczy 15 centimów.

Ceny ogłoszeń: Od miejsca wiersza milimetrowego jednoszpaltowego na str. ostatniej Mp. 100., od miejsca wiersza milim. jednoszp. w części redakcyjnej Mp 300.

Wychodzi każdej soboty.
REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV. ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny).
Telefon Nr. 479.

Naczelny i odpowiedzialny redaktor: Julian Bartoszewicz.

Należytość pocztowa opłacona ryczałtem. **Numer pojedynczy 400 Marek.**

Rok XIX. Kraków, 23 grudnia 1922. Nr. 46.

W noc Betleemską



NOC BETLEEMSKA.

Słychać z Nieba chór anielski
Chodźcie ludzie prości,
Gdzie wskazuje drogę gwiazda
Przedziwnej jasności!

Do Betlejem — wszyscy ludzie
Spieszcie wszystkie stany,
Bo dzisiejszej nocy na świat
Przyszedł Pan nad pany!

Hołd oddajcie Dzieciątkowi,
Co płacze w stajence
I świętemu Józefowi
I świętej Panience.

I ty pospiesz do Betlejem
Polski ludu rolny,
Uczcij Boga, który sprawił,
Że dziś jesteś wolny!

Że zgnębiona moc twych wrogów
I przemoc złamana,
Polski Ludu! Przed Chrystusem
Padnij na kolana!

Złóż Polaku ślubowanie,
Że w swoim narodzie
Będziesz żył, jak Bóg przykazał
W miłości i zgodzie.

Że tej zgody i miłości
Nic więcej nie zaćmi,
Że synowie jednej Matki
Uznają się braćmi!

Niech brat bratu praw do życia
Więcej nie zabrania —
A ten Jezus narodzony
Da ci moc wytrwania!

Zamordowanie pierwszego prezydenta Rzeczypospolitej.

Dokonano okropnej, niebywałej w dziejach Polski zbrodni. Z ręki skrytobójcy padł pierwszy prezydent Rzeczypospolitej Polskiej ś. p. Gabryel Narutowicz. Sprawcą zamachu okazał się artysta malarz, Eligiusz Niewiadomski, profesor szkoły sztuk pięknych w Warszawie, b. referent sztuk plastycznych w ministerstwie kultury i sztuki. Wiadomość o jego ohydnym czynie rozeszła się lotem błyskawicy po całej Polsce i wywołała we



Zamordowanie pierwszego prezydenta Rzeczypospolitej: Ś. p. Prezydent Narutowicz po przejęciu władzy wraz z byłym Naczelnikiem Państwa Piłsudskim w Belwederze.
Fot. Sarjusz Wolski, Warszawa.

wszystkich sferach społeczeństwa polskiego powszechne oburzenie. Naród polski, bez względu na partye polityczne, dał jednomyślny wyraz swych uczuć, piętnując ten potworny, hańbiący Polskę mord. Nie ulega też wątpliwości, że dokonać go mógł tylko niepoczytalny szaleniec...

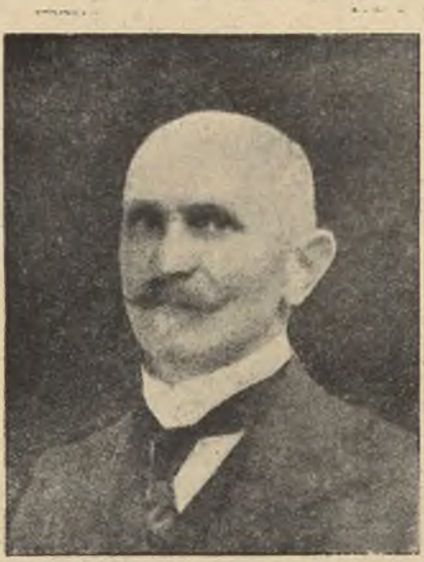
Dokonał on zbrodni podczas otwarcia wystawystawy Tow. Zachęty Sztuk Pięknych, oddając trzy strzały do prezydenta Narutowicza. Ś. p. Narutowicz raniony śmiertelnie, w kilka minut wyzionął ducha. Zwłoki jego przewieziono do Belwederu, poczem we wtorek dn. 19 bm. nastąpiła uroczysta eksportacya zwłok pierwszego prezydenta Rzeczypospolitej do Zamku królewskiego. Trumnę ustawiono na katafalku w sali rycerskiej, gdzie zwłoki przez trzy dni były wystawione na widok publiczny.

Ś. p. Gabryel Narutowicz urodził się w r. 1865 w Telczach w rodzinnym majątku na Żmudzi. Studya gimnazyalne odbył w Libawie, a następnie po ukończeniu Instytutu Technologicznego w Petersburgu wyjechał na dalsze studya do Szwajcaryi. Tam po pewnym czasie został powołany przez Politechnikę w Zurychu na katedrę robót wodnych, które to stanowisko zajmuje przez lat kilkanaście. Jednocześnie poświęca się wielkim pracom inżynierskim, które zyskują mu duży rozgłos. Powołany na stanowisko prezesa międzynarodowej komisyi Renu, zajmującej się sprawą wyzyskiwania siły wodnej Renu, pozostaje na tem stanowisku aż do chwili powrotu do wolnej Ojczyzny, gdzie w r. 1920 obejmuje tekę ministra robót publicznych w gabinecie p. Władysława Grabskiego. Tekę tę zatrzymuje w gabinecie p. Witosa i dwóch gabinetach p. Ponikowskiego. Jako drugi obok p. Skirmunta delegat Rządu Polskiego, bierze udział w konferencyi genueńskiej.

W gabinecie p. Śliwińskiego obejmuje tekę spraw zagranicznych i pozostaje na tem stanowisku w rządzie p. Nowaka, aż do chwili wyboru swego na prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej.

Nowy prezydent Rzeczypospolitej.

W cztery dni po tragicznej śmierci śp. Prezydenta Narutowicza, w dniu 20 b. m. zebrało się znowu Zgromadzenie Narodowe celem wyboru nowego prezydenta Rzeczypospolitej. Tym razem zgłoszono oficyalnie tylko 2 kandydatury: prof. Morawskiego, prezesa Akademii Umiejętności w Krakowie i Stanisława Wojciechowskiego, b. ministra spraw wewnętrznych. Już w pierwszem głosowaniu p. Wojciechowski otrzymał 298 głosów i został wybrany prezydentem.



Nowy prezydent Rzeczypospolitej: Stanisław Wojciechowski.

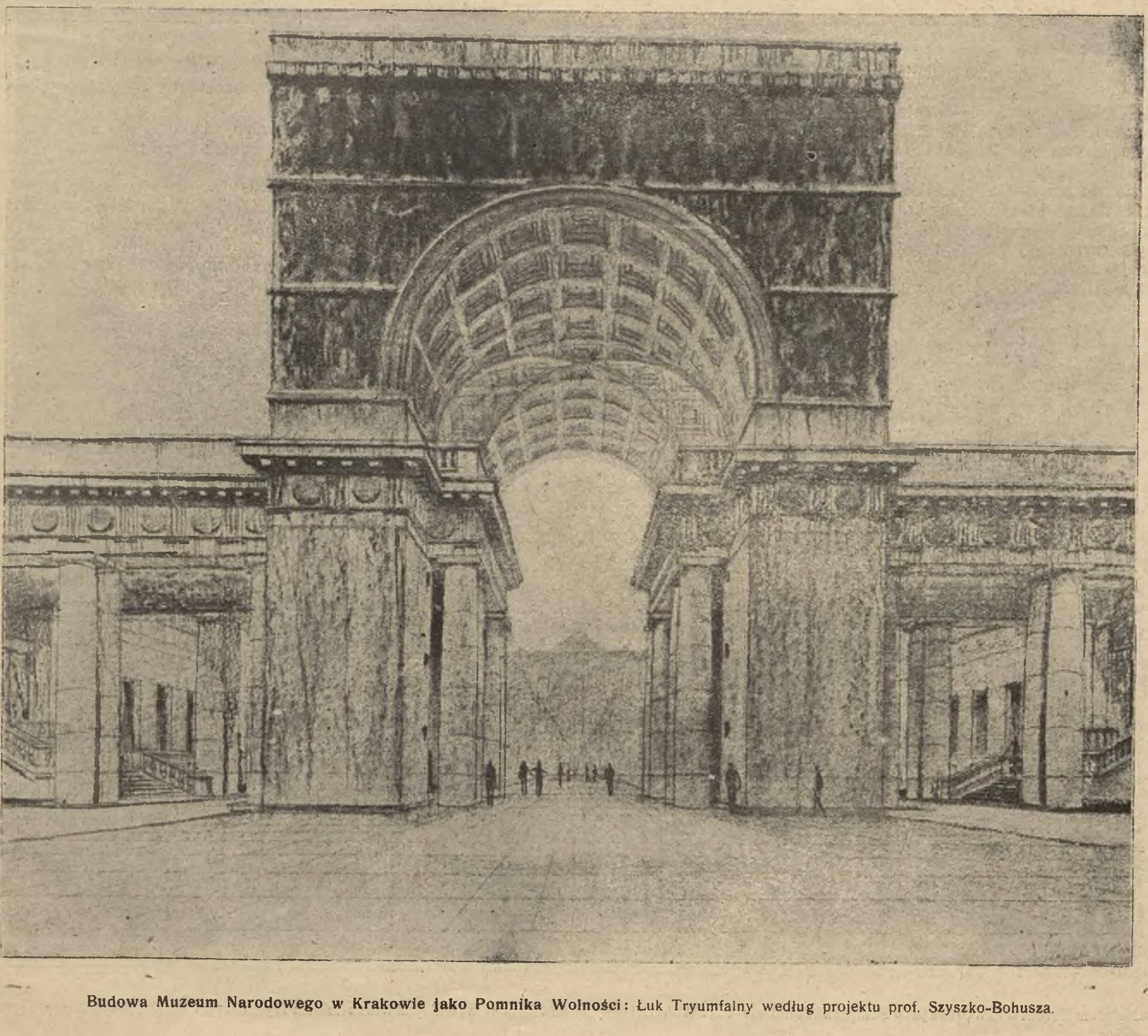
Prezydent Stanisław Wojciechowski urodził się w r. 1869 w Kaliszu. Po ukończeniu gimnazyum studyował matematykę i przyrodę na Uniwersytecie warszawskim. Już podczas studyów uniwersyteckich brał udział w ruchu robotniczym i stał się jednym z głównych przywódców P. P. S. w zaborze rosyjskim. Zmuszony uciekać za granicę, przebywał dłuższy czas w Paryżu i w Londynie, skąd powrócił podczas rewolucyi 1905 r. do Warszawy. Rychło jednak, zrażony wynikami tej rewolucyi socyalistycznej i niesnaskami w P. P. S. wystąpił z partyi i poświęcił się legalnej działalności spółdzielczej: założył i redagował spółdzielcze pismo „Społem“ i stworzył związek stowarzyszeń spółdzielczych.

Gdy wybuchła wojna, stanął po stronie oryentacyi wrogiej mocarstwom centralnym. Przed zajęciem Warszawy przez Niemców uszedł do Rosyi i tam odgrywał wśród emigracyi polskiej wybitną rolę jako prezes polskiej rady międzypartyjnej. Powróciwszy do niepodległej Polski w gabinecie Paderewskiego, a następnie Skulskiego piastował tekę ministra spraw wewnętrznych.

Opuściwszy ten urząd, postanowił poświęcić się pracy współdzielczej wśród ludu i w tym celu wstąpił do stronnictwa ludowego Piastowców.

Tymczasowy rząd jen. Sikorskiego.

W krytycznej chwili, gdy mord dokonany na osobie ś. p. prezydenta Narutowicza, wywołał w kraju ogólne wzburzenie, Marszałek Sejmu Rataj, zastępujący na mocy Konstytucyi zmarłego prezydenta, powołał do steru rządów jen. Sikorskiego, który stanął na czele gabinetu i objął tekę ministra spraw wewnętrznych. Wydał on szereg zarządzeń, mających na celu utrzymania w tym przełomowym okresie ładu i spokoju. Osoba i dotychczasowa działalność jen. Sikorskiego daje gwarancyę, że podoła on temu odpowiedzialnemu zadaniu. Dał się on bowiem poznać jako dzielny żołnierz i doskonały administrator. Odznaczył się on chlubnie obroną Przemyśla przeciw nawale ukraińskiej, w walkach pod Lwowem i Gródkiem,



Budowa Muzeum Narodowego w Krakowie jako Pomnika Wolności: Łuk Tryumfalny według projektu prof. Szyszko-Bohusza.

w bitwach pod Tarnopolem i Trębowlą i w słynnej bitwie pod Mozyrzem. Niemniej wsławił się walnem zwycięstwem pod Modlinem w czasie inwazyi bolszewickiej.

Po zawarciu pokoju, jen. Sikorski został szefem sztabu generalnego, który to urząd pełnił z wielkim pożytkiem dla rozwoju naszej armii.

Budowa Muzeum Narodowego w Krakowie
jako Pomnika Wolności.

Jesteśmy świadkami wielkiej dziejowej chwili, zmartwychwstania naszej ojczyzny: naród wielomiljonowy z chwalebną przeszłością i zasługami wobec kultury i cywilizacyi stanął do współpracy wraz z innymi narodami. Po czynie zbrojnym, po cudzie Wisły i utrwaleniu granic zaczęła się praca systematyczna nad konsolidacyą wewnętrzną, na stworzeniem stosunków i warunków rozwoju naszego państwa. W drodze naprzód nie wielu ogląda się wstecz — na przeszłość. A przecież przeszłość nasza dotrzymywała kroków ówczesnym najkulturalniejszym narodom. Polska w Europie była czynnikiem kultury i cywilizacyi, szerzyliśmy ją na Wschód i bronili Zachodu przed zalewem azyatyckiego barbarzyństwa.

To słabe dzisiaj interesowanie się czy zapominanie o spuściźnie przodków naszych jest ciężką przewiną wobec przeszłych i przyszłych pokoleń. Wolne narody Zachodu już od dawna otaczają pietyzmem zabytki kultury i sztuki, gromadzą je w zbiory, rozmieszczając je w celowo zbudowanych gmachach, aby pojedyncze głosy zebrać w wymowny chór, opiewający przeszłość narodu. Muzea dla nich nie są cmentarzami, ale żywym organizmem, łączącym przeszłość z teraźniejszością. Nie zaspakajają one prostej ciekawości oczu, ale mówią językiem zrozumiałym dla wszystkich, czem był dany naród i co zdziałał, nawołują do pielęgnowania ducha narodu, krzepią go w chwilach ciężkich i podsycają miłość ojczyzny. Rozumieli to nasi zaborcy, gdy systematycznie ograbiali nas z naszych zabytków, gdy rabowali nasze archiwa i biblioteki, a na tworzenie nowych nie pozwalali. Wiedzieli oni, jakim czynnikiem życia narodowego są zabytki i muzea, więc starali się ten czynnik usunąć, by wyrwać z pamięci narodu jego przeszłość.

Co z punktu widzenia wrogich nam państw zaborczych było dobre, to dzisiaj kontynuowane przez nas samych, może bezwiednie, może z opieszałości, jest zbrodnią popełnianą na nas samych, naszej przeszłości i przyszłych pokoleniach.

Cóż dotąd dla tej przeszłości zrobiliśmy? Czy mamy muzea w europejskim pojęciu? — Nie! — Bo to co mamy, co jest n. p. w Krakowie zasługuje raczej na nazwę magazynu niż muzeum. A należy wiedzieć, że na nazwę muzeum składają się nie tylko zbiory, ale i gmach celowo dla nich wzniesiony.

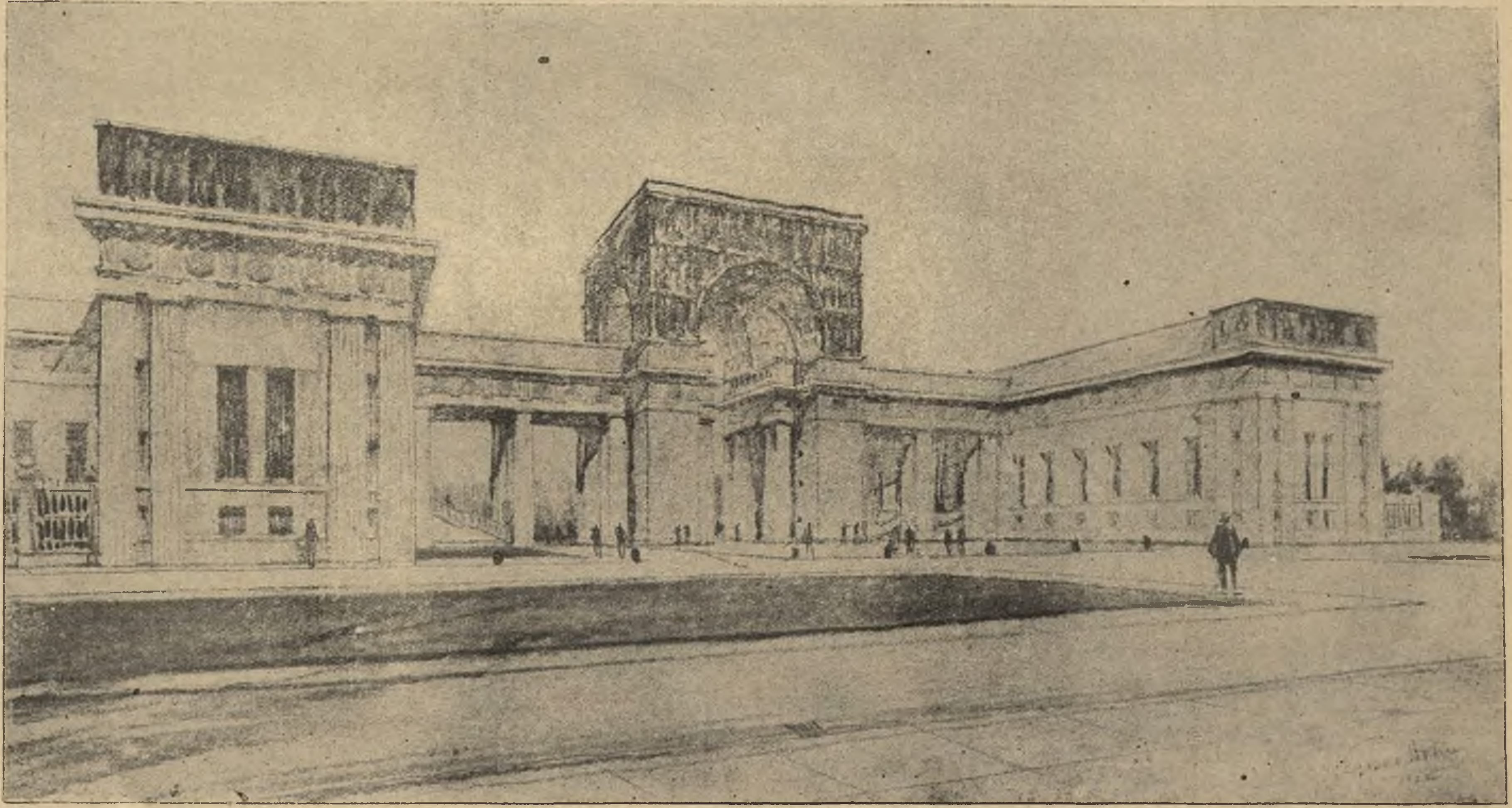
Kraków, to w czasach niewoli ognisko nauki i myśli narodowej, dzięki zrozumieniu znaczenia narodowego i kulturalnego muzeum, dzięki ofiarności jednostek i gminy posiada Muzeum Narodowe. Powołano je do życia w czasie uroczystości jubileuszowej Kraszewskiego, a początkiem jego był wielkoduszny dar Henryka Siemiradzkiego, który swe „Pochodnie Nerona" ofiarował jako zaczątek zbiorów muzealnych. Instytucya ta rozwijała się głównie darami osób patryotycznych, koszta zaś utrzymania i pomieszczenia zbiorów po-



Zamordowanie pierwszego prezydenta Rzeczypospolitej: Prezydent Narutowicz opuszcza Sejm po złożeniu przysięgi. Fot. S. Wolski, Warszawa.



Tymczasowy rząd jen. Sikorskiego: Jen. Sikorski, prez. ministrów i min. spraw wewnętrznych.



Budowa Muzeum Narod. w Krakowie jako Pomnika Wolności: Plac Wolności między pawilonami muzealnymi wraz z Łukiem Tryumfalnym według projektu prof. Szyszko-Bohusza.

LOUIS LETANG.

FATALNY TALIZMAN

Tłóm. z franc. Marya Segeny.

7)

— Jutro pomówimy o przyszłości naszej — bo jutro i już całe życie do nas tylko należy. — Mówiąc to Mara pociągnęła towarzysza do wyjścia.

Pod arkadami teatru czekała grupa mężczyzn, pragnąca, jak zawsze, ujrzeć z bliska wychodzącą gwiazdę. Trochę zaś na oboczu, stał owinięty w szerokie futro sekretarz lorda Halley'a, sir James Fortyl.

— Ah! — szeptał ze zdumieniem, wpatrując się chciwemi oczami w twarz młodej dziewczyny.

Poza sir Jamesem, z pod ocienionego filaru, wyjrzała w tej chwili ciemna twarz, o czarnych, przenikliwych oczach. Był to Hindus Koli-Noor. Wzrok jego spoczął również uważnie na Marcie, lecz zimna, nieruchoma jego twarz — nie wyrażiła żadnego uczucia. Służący lorda Halley'a stał wyprostowany, bez ruchu, jak posąg.

Tymczasem Dżim stał tuż przy drzwiach powozu, które na widok Marty otworzył, skłoniwszy się jej z wielką powagą i szacunkiem.

Marta i Armand usiedli, mała murzynka Boca umieściła się na przedniem siedzeniu, Dżim ze zręcznością małpy skoczył na kozioł i powóz ruszył.

Równocześnie sir James szybko opuścił „foyer" teatru i wskoczył do oczekującej na niego dorożki. Stangret musiał już przedtem otrzymać stosowne rozkazy, bo powóz potoczył się w pewnej odległości za pojazdem Marty.

Wówczas stała się rzecz nieoczekiwana. Hindus znieruchomiały pod filarem, oderwał się od niego jednym skokiem, przesunął się zręcznie pomiędzy publicznością zalegającą ulicę i biec zaczął za powozem, uwożącym sekretarza.

Kiedy minięto bulwary i obydwa powozy ruszyły w pewnej od siebie odległości ulicą Richelieu, Koli-Noor dogonił dorożkę sir James'a i lekko, ostrożnie, skoczył na żelazne sztaby, umieszczone z tyłu, gdzie skulił się, zmalał, stał się prawie niewidzialnym.

Marta zajmowała nieduże mieszkanie przy bulwarze Saint-Germain.

W niedługim czasie powóz jej stanął przed wskazaną kamienicą i młoda dziewczyna wysiadła przy pomocy Boci i Dżima.

Sir James, którego sztangret przystanął również niedaleko, mógł wyraźnie usłyszeć żywo wymówione słowa:

— Do jutra, Armandzie, prawda? Powóz odwiezie cię. Do jutra, mój przyjacielu!

Sir James zanotował starannie numer domu, do którego weszła Marta i nie zauważył, tak był zajęty swoją czynnością, że ciemna głowa Hindusa wyłoniła się nagle poza jego plecami i czarne, przenikliwe oczy śledziły chciwie zapisane przez niego słowa.

Powóz Marty powracał teraz wraz z Armandem bulwarem des Italiens. W ślad za nim jechał sir James z Koli-Noorem, uczepionym z tyłu. Przy końcu ulicy Richelieu Hindus zeskoczył i pobiegł szybko królewską ulicą, ku domowi sir Halley'a. Musiał być na swojem stanowisku przed powrotem sir James'a.

Sekretarz lorda tymczasem śledził powóz, wiozący dalej Armanda i w końcu ujrzał, jak tenże zatrzymał się przed Grand Hotelem. Armand wyskoczył i zniknął po chwili, w tonącej już w półmroku bramie.

Była godzina pierwsza po północy, kiedy sir James zapukał do biblioteki, gdzie pracował jeszcze lord Halley.

— Wejdź, Jamesie! — zawołał lord, który niecierpliwie oczekiwał na niego.

Zaledwie drzwi się za sekretarzem zamknęły, kiedy z głębi korytarza wyjrzała ciemna, zgarbiona sylwetka Hindusa. Pełzając jak kot, Koli-Noor przyczołgał się pod drzwi i położył się na podłodze, nadsłuchując.

— No i cóż, Jamese? — zapytał lord.

— Widziałem ją.

— Jakie jest twoje zdanie?

— W obydwóch fotografiach — zaczął sekretarz — były pewne różnice... Ale przyjrzałem się tej kobiecie zbliska, niedostrzeżony przez nią i... twierdzić mogę z całą stanowczością, że są to ruchy, rysy — cały sposób zachowania się księżniczki Batsyle.

— Nie zechcesz chyba twierdzić, że jest to sama księżniczka Batsyle?

— Oczywiście. mylordzie. Księżniczka miałaby teraz lat około czterdziestu, ta zaś zaledwie dwadzieścia.

— A więc, Jamesie?

— Toby mogła być jej córka.

— Ah! ah! co mówisz!

Lord Halley zerwał się z fotelu i silnie wzruszony okrążył stół, nie mówiąc słowa.

— Ta myśl i mnie nawiedziła — przemówił w końcu. — Ale to niedorzeczność!

— Mylord kazał mi mówić!

— Zapewnie i dziękuję ci Jamesie za twoje starania. Ale gdyby tak było, pomyśl, jakie grozi niebezpieczeństwo. Sytuacya tam nie była dobra, pamiętasz? Ci Hindusi niebezpieczni są z tym swoim uporem odrzucania rządów naszych. Ale nie pora mówić teraz o tem. Księżniczka była poślubiona, jak mówiono, jakiemuś awanturnikowi Francuzowi, który miał się nazywać hrabią Quelusem i którego zabiliśmy w walce pod Altą.

— Tak. To był związek bez żadnego znaczenia, nie urzędowy.

— Księżniczka jednakże miała z niego dwoje dzieci?

— Tak. Chłopca i dziewczynę, którąby obecnie miała lat dwadzieścia.

— Co za dziwny zbieg okoliczności. Ah! Jamesie, gdyby to wiedzieć można, co się stało z księżniczką po ugaszeniu buntu jej poddanych.

— Szukałem jej śladów przez kilka lat, mylordzie. Wiedziałem, że księżniczka w ucieczce swojej zabrała z sobą papiery wartościowe angielskie na sumę kilku milionów, które podjęte zostały w Londynie u Samuela Clyfton et Cie, w trzy miesiące po naszem zwy ięstwie...

— Kto to uczynił?

— Francuz, podający się za Karola Robertol. Jednakże nazwisko to było sfałszowane.

- Masz dobrą pamięć, Jamesie. To, co mówisz, wskazywałoby na powrót księżniczki do Francyi.

— Lub też, że okradz oną została przez Francuza.. W aktach naszych są papiery stwierdzające, że sprawa ta została oddaną prokuratoryi.

— Tak, przeglądałem je, ale tam niema nic konkretnego. Ah! wszystko to bardzo jest tajemnicze, Jamesie.

Sekretarz potrząsnął głową i jego małe oczy zabłysły niezwykłym blaskiem.

— Mam przekonanie, że sprawa ta zaczyna się obudzać. Ślad tej miss Elvy wydaje mi się dobrym. Ta młoda kobieta zna swoje pochodzenie, lub też stara się je poznać. W pierwszym przypadku - zmusimy ją do mówienia, w drugim, ofiarujemy nasze usługi w poszukiwaniach.

— Zwołałem Brood'a i Pillera na jutro rano i jeżeli mylord pozwoli, dam im potrzebne instrukcye.

— Rób, jak uważasz, Jamesie. Wiesz, jak bardzo obchodzi mnie ta sprawa. Pozatem jest ona złączona z interesami naszego rządu. Nie rzeba żałować pieniędzy.

— Stanie się według życzenia mylorda.

Sekretarz zabierał się już do odejścia, kiedy lord Halley zapytał go nagle:

— Jamesie, czy nie wiesz, ile wynosił wo jenny skarb Radżputów?

— Milion funtów szterlingów mniej więcej — w połowie srebro, w połowie złoto. Rewolucyości chwalili się wówczas, że mogą długo jeszcze nam się opierać.

— Ten skarb przepadł dla nas.

— Pałace w Dżajpur zostały zburzone i przeszukane naprożno.

— Jamesie — zapytał jeszcze lord czy znana ci jest legenda „Tajemniczego naszyjnika"?

— Tak, mylordzie.

— Czy sądzisz, że jest oparta na prawdzie?

— Tak.

— Czegoby to dowodziło?

— Że panujący ówcześnie jeden tylko znał miejsce, gdzie ukryty jest skarb. On to przed śmiercią musiał przekazać tę tajemnicę następcom. Jednakże, aby ustrzedz skarb przed jakiem nieszczęściem, istnieje plan pewien — i plan ten schowany jest w naszyjniku, spleciony z włosów. Naszyjnik ma być cienki, związany nicią złotą — radżowie hinduscy przekazywali go sobie z pokolenia na pokolenie. Jest to u tego ludu relikwja bardzo cenna.

— A więc, Jamesie. Należałoby koniecznie poszukać tego naszyjnika, znajdującego się oczywiście na szyi księżniczki Batsyle — żywej — czy umarłej, lub też na szyi jej córki i syna. Im to zapewnie przekazała ten tajemniczy talizman.

— Tak... trzeba go znaleźć — szepnął sekretarz, zamyślając się głęboko.

— A więc szukaj i znajdź, Jamesie! — zawołał lord. Dziesiąta część skarbu do ciebie należeć będzie. Przysięgam ci to, na honor lorda Halley'a.

— Oh! — jęknął olśniony sekretarz — Czy ja nie śnię, mylordzie! Taki majątek!

— Tak, Jamesie. Skarb leży ukryty w jakich podziemiach zapewne i zważ, że nikt o nim nie wie, nikt się nie ubiega, bo linia panujących radżów wymarła i teraz mamy spokój w Indyach.

Twarz sekretarza zbladła śmiertelnie i wykrzywiła się ohydnym skurczem pożądliwości.

— Zdobędę talizman, mylordzie! — zawołał zduszonym głosem. Zdobędę go, choćby za cenę życia!

— Dzielny z ciebie pomocnik — odrzekł lord, uśmiechając się.

— Czy mylord potrzebuje mnie jeszcze?

— Nie, Jamesie — zamknij drzwi, wychodząc. Zejdę do sypialni małemi, krytemi schodami.

Sekretarz wyszedł. Nie zauważył nic nadzwyczajnego, zamykając drzwi od biblioteki, lecz, że był człowiekiem ostrożnym i przypomniał sobie ostrzeżenie lorda Halley, cicho, na palcach, podszedł do pokoiku, zajmowanego przez Hindusa, mieszczącego się na końcu galeryi — poczem nagle drzwi otworzył.

Koli-Noor zerwał się na równe nogi z maty, na której leżał.

— Dobrze, dobrze, uspokoił go James. — Spałeś jak widzę. Chciałem ci tylko powiedzieć, abyś mnie obudził, jak tylko Brood i Piller stawią się tu rano.

I nie czekając na odpowiedź Hindusa, zamknął spiesznie drzwi i odszedł.

X.

Nazajutrz rano, około godziny ósmej człowiek w liberyi firmy Bidanil rozdawał ogłoszenia na bulwarze Saint-Germain, naprzeciw domu, w którym mieszkała Marta.

Biegając żywo, z jednego chodnika na drugi, służący ten, mężczyzna wysokiego wzrostu, szeroki w barkach, trzymając dół twarzy ukryty w szalik wełniany, mruczał pod nosem:

— Oh! nie widzę małego Brooda. Cóż się się z nim stało? Nie umiał sobie wyszukać pozoru douwijania się w tem miejscu. Cóż to za głupi chłopak!

Przed godziną dziewiątą bulwar zaroił się przechodniami. Piller miał dosyć amatorów na swoje prospekta. W pewnej chwili odskoczył na chodnik, aby przepuścić duży wózek, ciągniony przez tragarzy i równocześnie oczy jego padły na młodego robotnika, zajętego wyrabywaniem kawałków lodu ze ścieków, które składał systematycznie na duży stos obok.

Piller patrzał zdumiony.

Był to mały Brood.

Nie przerywając swojej czynności, Brood mówić zaczął.

— Ja tu jestem dawno, przyszedłem przed tobą jeszcze.

— Wybacz mi Brood, nie poznałem cię i przyznać muszę, że cię nie doceniałem należycie. Jesteś genialnym człowiekiem, Brood.

— Ty również Piller, posiadasz zdolności niepowszednie.

— Jesteś moje dziecko, pierwszym detektywem świata.

— Po tobie mistrzu, po tobie — bronił się mały Brood.

— Zimno bardzo, mój przyjacielu.

— Tak, ciepło nie jest.

-- Szklanka whisky przydałaby się?

— Oczywiście — pomyślimy o tem później.

Pożegnali się mrugnięciem powiek i każdy pozornie zajął się swoją czynnością.

Około dziesiątej powóz zatrzymał się przed domem strzeżonym i Armand Sorel wyskoczył z niego.

Piller urządził się w ten sposób, że stanął tuż przy bramie, w chwili, kiedy młody człowiek pytał portyera o mieszkanie miss Elvy.

— Schody na prawo, drugie piętro — brzmiała odpowiedź.

Marta już ubrana, oczekiwała Armanda.

(Ciąg dalszy nastąpi).

MARYA SEGENY.

OTCHŁAŃ

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA.

— Nie gadaj! A to ci heca... no dalej... dalej...

— Stara jak ją zobaczyła to o mało nie trzasła ze złości. A Stefka powiada, była w całej paradzie bo właśnie wracała z teatru i tak ci oboje starych lornetowała, że prędko zawołał kelnera, zapłacił i wyszli.

— A to dobrze! To dobrze! — cieszyły się dziewczyny. — Myśleli może, że zdechnie z głodu jak ją stąd wyrzucili! Niedoczekanie!

— A pewnie — potwierdziła Wladka. — O tego gagatka swojego się bali... Przyłapali podobno jak on do Stefki pisał i umawiał się na kolacyę i już jej na drugi dzień tu nie było! A że do tej aktorzycy lata, to nic! Udają, że nie wiedzą.

— Bali się może, że się ze Stefką ożeni?

— A gdyby! To co! Co gorszego Stefka albo każda z nas od starej? Podobno także była sklepową w jakiejś budzie. A że się dorobili i napaskowali przez wojnę, to teraz nosa do góry zadzierają — burżuje! Stara zapomniała już, że za ladą w dziurawych butach stała!

— A ja wam powiadam — odezwała się przysłuchująca się dotąd w milczeniu, blada, wątła blondynka — że ten młody Wanke ma coś w sobie, co bierze...

— Żeby cię tylko nie wziął i po tygodniu nie rzucił — roześmiała się Władka. — On to potrafi! A potem będzie z tobą to samo, co ze Stefką — tylko żeś ty nie Stefka i nie poradzisz sobie tak, jak ona. Ale uwaga! panienki! O wilku mowa, a wilk tu!

Do pracowni wszedł szybkim, swobodnym krokiem Ludwik Wanke.

Nagła cisza powiała po całej sali. Wszystkie głowy jak na komendę, jak młode drzewa przygniecione naporem wiatru, pochyliły się uległe nad robotą. Gdzieś tylko z poza chmury zwichrzonych włosów wysirzeliło ciekawe, zuchwałe spojrzenie.

— Coś za często szef zjawia się w pracowni — wyszeptała jeszcze Władka. — Uważacie! Pewnie sobie upatrzył nową ofiarę.

Wanke tymczasem przystanął na środku sali i bystrem spojrzeniem powiódł dookoła.

Nagle twarz jego blada, zimna, ożywiła się przelotnym blaskiem. Wzrok jego zatrzymał się na chwilę na pochylonej głowie Marty, siedzącej trochę na uboczu pod oknem. Trwało to kilka sekund zaledwie. Rysy mężczyzny stężały znowu w obojętnym wyrazie, zimny błysk oczu przygasił płomień przelotny i Wanke ze zwykłą swobodą rozpoczął banalną jakąś rozmowę z panną Karoliną, wdzięczącą się do niego uśmiechem zawsze skrzywionej twarzy.

Za chwilę już był przy długim stole, przy którym rzędem siedziały skupione i spoważniałe teraz pracownice i pochylony nad nimi, rzucał to uwagę, to zapytanie i szedł dalej, aż w końcu doszedł do ostatniego małego stolika pod oknem.

I już cisza na chwilę zakazana, rozbrzmiewać gdzieniegdzie zaczęła półsłówkami i szeptem stłumionym. Poruszać się nerwowo zaczęły młode usta nie nawykłe do milczenia. Niektóre spojrzenia ciekawe, roztęsknione, nagle biec zaczęły upornie za wytworną, zgrabną męzką sylwetką, od której czar czegoś zakazanego, a ponętnego bardzo bił na młode, pobudzone zmysły.

— Panna Marta Korczak, nieprawdaż? — usłyszała niespodziewanie nad sobą Marta, melodyjnym, niskim głosem wymówione słowa.

Dreszcz nerwowy wstrząsnął jej ciałem.

Już od chwili wejścia do pracowni młodego szefa czuła, że jakaś gwałtowna fala bezwładu ogarnia ją całą, przykuwając nieruchomą do krzesła. I tylko silny napływ krwi do skroni, nieznośnem pulsowaniem, utrzymywał jej świadomość w pół czujnem oczekiwaniu. Nie uniosła jednak głowy, nie uniosła powiek, bo ciężar jaki spadł na nie, uniemożliwiał każden ruch i drgnienie najmniejsze.

— Dobrze się stało — przemknęła jej tylko myśl. — Nie zobaczę jego wzroku, nie pochwycę spojrzenia. Bo gdyby tak, jak wczoraj...

— Panna Marta Korczak? — powtórzył zapytanie głos niski, stłumiony trochę, mniej melodyjny jak przed chwilą.

— Tak — wybiegło szeptem z ust Marty.

— Mam dla pani zlecenie i ukłony od pani Sokolicz. Proszę zaczekać o siódmej przy wyjściu bocznem...

Ostatnich słów, choć rzucone były tonem zimnego rozkazu, nie mógł nikt usłyszeć, tak ostrożnie i umiejętnie wymówione były nad samą głową pochylonej ciągle Marty.

I zaraz potem zadźwięczało donośne pytanie zwrócone do panny Karoliny.

— Dla kogo to ten szlafrok,[1] który pani haftuje?

— Dla doktorowej Altberg, proszę pana szefa — brzmiała krzykliwa odpowiedź starej panny.

— Ah! dla tej blondyny. — Czy sama dobierała odcienia jedwabi do haftu?

— Nie. Dobierałam je sama. Doktorowa polega zawsze na moim guście.

— Tym razem — uśmiechnął się z pewnem złośliwem zadowoleniem młody Wanke — gust trochę panią zawiódł. Ten kolor tango, byłby stosowniejszy dla brunetki.

Panna Karolina głęboko urażona uwagą głośno wymówioną, zacięła usta w dumnem milczeniu.

— Nieprawdaż, proszę pani — zwrócił się tym razem Wanke wprost do Marty. — Dla brunetki — powtórzył zniżonym głosem — takiej jak pani.

— Gdybyśmy stosować chcieli kolory do odcieni włosów naszych panien, ładny by z tego wypadł chaos barw — zaśmiała się ironicznie panna Karolina, której bystre ucho pochwyciło ostatnie słowa szefa.

— No, no, panno Karolino, zażartowałem tylko — spokorniał nagle Wanke pod wyzywającem, mściwem spojrzeniem starej panny. — Doktorowa jest blondynką, ale ma cerę brunetki. Trudno to rzeczywiście pogodzić jedno z drugiem.

W pracowni tymczasem rozchichotał się nie tłumiony śmiech pracownic.

— Uważałyście — szepnęła Władka, patrząc roziskrzonemi oczami za szefem, kierującym się już do wyjścia. — Zdaje się, że on na tę nową, czarną, parol sobie zagiął. Widział to kto! Siedzi niby jak trusia i tnie margrabinę, a kto wie co tam już między nimi jest. Nie słyszałyście co do niej mówił?

— Nie wszystko... coś o tej Sokolicz.

— Aha! ta aktorzyca ją protegowała tu. Głupia — albo też miała go już dosyć... Ale czekajcie, trzeba będzie teraz ich pilnować... Będziemy mieć na co patrzeć.

— Eh! zdaje ci się pewnie. On nieraz coś, której z nas szepnie... i nic... — wymówiła z pewnym żalem w głosie anemiczna blondynka.

— A tybyś zaraz chciała... wszystko... — palnęła rozdrażniona już trochę Władka. — Pilnuj się ty, Kazia mówię — lecisz na szefa całą siłą pary — a on już gdzieindziej krążyć zaczyna. Wierzcie mi, ja mam węch! Z tego coś będzie. Patrzcie jaka siedzi blada, wniebowzięta.

Ale Marta nic nie słyszała.

Słowa Wankego wytrąciły ją już zupełnie z równowagi, z takim trudem utrzymywanej dotąd.

— Czego chciał od niej? Dlaczego kazał jej czekać tam przy bocznem wyjściu po siódmej. Mówił o jakichś zleceniach od pani Luny. Ale pani Luna przecież gniewała się na nią, tak przynajmniej wspominała ciocia Flora.

Cały dzień walczyła ze sobą, czy czekać na niego, tak jak tego żądał, czy nie.

A może rzeczywiście miał jej coś do powiedzenia od pani Luny, a nie chciał tego mówić w pracowni, nie życząc sobie, aby wszystkie panny wtajemniczone zostały w jego stosunek do aktorki.

I tu znowu myśl Marty zaczęła gorliwie pracować. Co łączyło tych dwoje ludzi? Jakiego rodzaju związek istniał pomiędzy nimi? Panny z magazynu otwarcie mówiły o zażyłej ich znajomości.

Marcie mało znanem było intimne życie pani Luny, ale instynkt i to, co pochwyciła już sama ze słów cioci Flory, kazało jej być ostrożną.

Dziś już nawet żałowała, że musiała użyć jej protekcyi i pomocy, aby otrzymać tutaj jakie zajęcie. Na śliczną, olśniewającą postać pani Luny padać już poczęły pierwsze plamy zaćmiewające jej blask pierwotny.

Czy takie rozczarowania i dalej spotykać ją miały?

— — — — — — — — — — — — — — — — — —

Ciężkim, powolnym krokiem szła Marta przez małe podwórze, prowadzące do bocznego wyjścia na wąską, mniej ładną uliczkę. Pracownice już wszystkie opuściły magazyn. Marta musiała wynaleźć jakieś konieczne upozorowanie do pozostania choćby kilka chwil dłużej jak zazwyczaj.

Wyszła ostatnia, kiedy gaszono już światła.

I teraz przez ciemne podwórko szła bez myśli, zdając się na łaskę wydarzeń.

Wyszła na uliczkę i nie oglądając się przystanęła na chwilę, machinalnie patrząc przed siebie.

Ocucił ją odgłos szybkich kroków i dźwięk trochę zniecierpliwionego głosu.

— Dlaczego pani stanęła? Jak można być tak nieostrożną. Ludzie wszystko wyśledzą i po swojemu komentować będą. Chodźmy prędzej.

Bez słowa przeszli kilka ulic. Marta nie oryentowała się zupełnie. Zdziwiona tylko i zaniepokojona była, dlaczego nie mówi, dlaczego nie informuje ją o zleceniach pani Luny.

— Pani pewnie zmęczona — usłyszała w końcu jego zapytanie. — Wstąpimy tu, do tej małej cukierenki. Tu nas nikt nie podpatrzy — zaśmiał się szczerym naturalnym głosem.

Ujął ją pod ramię, otworzył drzwi i lekko popchnął do środka.

Marta nie oponowała wcale. Wszystko to było takie dziwne, nieoczekiwane, że nie próbowała już w tej chwili rozumieć. I nawet niepokój, który ją na chwilę ogarnął tam, na ulicy znikł gdzieś całkiem pod wpływem jego niskiego, melodyjnego głosu.

No więc co? — majaczyło w jej mózgu. — Usiądziemy tu, on będzie do niej mówił... ale co... o czem... to już obojętne — a ona słuchać będzie i patrzeć w jego oczy urocze tak, jak tam w pracowni i... niech się dzieje co chce, kiedy jej z tem tak dobrze... tak nieskończenie dobrze i cicho...

Wanke poprowadził ją do małego, odosobnionego pokoiku, gdzie nie było nikogo.

W przejściu dojrzała Marta jak przez mgłę grubą jakąś jejmość do połowy ukrytą za piramidą ciast i pieczywa — a potem cienki, dziecinny głos chłopca usługującego pytał o coś, na co odpowiadał drugi... ten już znany i upragniony głos... I ten sam głos coś długo i poważnie mówił do niej, ale ona nie wiele już rozumiała, bo równocześnie parzyło jej oczy, usta, twarz całą, bezlitosne spojrzenie, zimnych napozór jasnych źrenic i znowu śmiałe, zuchwałe biegło aż do najskrytszych głębin jej istnienia rozpalać, budzić, wywoływać to, co piekielną, bolesną rozkoszą rozlewało się po całem ciele. W zapamiętaniu tem upojnem, Marta nie słyszała, nie rozumiała słów, wymawianych przez Wankiego niskim, miękkim głosem. Jak zahypnotyzowana łowiła tylko wdzięczny ruch krwią nabrzmiałych warg i coraz cieplejsze, coraz więcej zagarniające spojrzenia jego wymownych oczu.

Kiedy w czas jakiś potem Wanke odprowadzając ją na ulicę Chłodną, przycisnął do siebie mocno jej ramię i natarczywie dopominał się jakiegoś potwierdzenia, czy odpowiedzi — wraz z ciężkiem westchnieniem wybiegły z jej ust dwa tylko nieprzytomne słowa:

— Tak... dobrze...

Nie wiedziała jednak co potwierdza, na co przyzwolenie daje.

W głowie jej rozpalonej tętniał szum, jak po wypiciu kilku szklanek szampana.

III.

W malinowej sali hotelu Bristol bujną, żywiołową falą dyszało błyskotliwe, naprężone ożywienie. W jaskrawych promieniach rozżarzonych lamp nawet martwe rzeczy nabierały pozoru jakiejś wskrzeszonej świetności. Polyskliwie błyszczały zimne tafle luster, wchłaniając w siebie odbicia przesuwających się postaci. Wytwornie a lubieżnie układały się miękkie fałdy jedwabnych tkanin na wypieszczonych ciałach kobiet, ponętniej kusiły białe ramiona i szyje dźwigające artystycznie wyszminkowane twarze do połowy przysłonięte tajemniczym cieniem skrzydlatych kapeluszy. Nawet wybladłe bez wyrazu maski kelnerów nabierały w tem bujnem oświetleniu pozornych cech ożywienia, jak gdyby i na nich spoczął na chwilę odblask radości użycia pulsującej po sali.

Dyskretne szepty i szmery nabrzmiałe pragnieniem pocałunków i uścisków, niedomówione

słowa, wykrzyki, śmiechy drażniące i bezmyślne jak stado obłędnych nocnych ptaków, trzepotały w powietrzu przesyconem zapachami i gorącymi oddechami ludzi, nie mających ze sobą nic wspólnego — prócz gromadnego pragnienia wykorzystania chwili i wymiany jak największej ilości wrażeń, potrzebnych ich nerwom.

skrzyły się oczy, śmiały się usta, wymawiające może po raz setny te same słowa, mające na celu oszołomienie się własne i zabicie za jakąkolwiek cenę nudę i zmęczenie wyzierające pomimo wszystko ze źrenic sztucznym blaskiem płonących.

Perlił się kaskadą śmiech wesoły, zda się beztroskliwy — i choć niekiedy zadźwięczała w nim nuta zanadto fałszywa, choć zapłakał w nim tragizm pajaca bawiącego galeryę, porwał go szybko wir ogólny i wcielił w swój akord chaotyczny. Barwną, narkotyczną chwilą żyła sala. Nieznane jutro, pogardliwie pańskim gestem precz odrzucone, chyłkiem tylko czaiło się po kątach gromadząc świeży zapas zemsty podstępnej. Ale tymczasem, bezczelne, samowładne dziś, królowało tu w całej swojej pełni, w całej potędze swoich najniższych instyktów i żądz.

W jednym z kątów sali, niedbale rzucony na poręcz kanapki, siedział Ludwik Wanke. Na męzkiej jego, nerwowej twarzy osiadł wyraz niespokojnej zadumy i skupienia. Duże, szare oczy, wlepione w przestrzeń nie zdawały się widzieć przeszkód, stających co chwila w prądzie jego spojrzenia. Myśli jego widocznie wypełniał zajmujący bardzo obraz, który na razie niczem i nikim przysłonięty być nie mógł.

Niekiedy na wydatnych, mocno czerwonych ustach, przewijał się cyniczno namiętny uśmiech i wtedy źrenice jego cofały się wgłąb, jak gdyby ukryć chciały blask, który w nich nagle wytrysnął.

Ludwik Wanke liczył obecnie lat około czterdziestu i żył całą pełnią dorodnej, zrównoważonej swojej dojrzałości męzkiej. W człowieku tym energicznym, pewnym siebie i śmiałym uderzały jednak szczególnie dwie sprzeczności, jak gdyby dwie zupełnie odmienne od siebie istoty złożyły się na całość jego charakteru.

Wanke wyrachowany, bezwzględny aferzysta i przemysłowiec, umiał być w pewnych swoich godzinach marzycielem, czułym na piękno. I w godzinach tych, które z biegiem lat nachodziły na niego coraz bardziej absorbujące — nikt by nie poznał zimnego, surowego szefa, z kobiecą drobiazgliwością krytykującego najlżejsze uchybienie swojego licznego personelu, prowadzącego żelazną ręką całą skomplikowaną maszyneryę potężnej, renomowanej firmy.

Wanke bowiem pochodził z rodziny z dawien dawna zajmującej się kupiectwem, torującej sobie dzięki sprytowi i pracy drogę do arystokracyi finansowej i mieszczańskiej i urodził się już z tą silnie zaznaczoną, atawistyczną żyłką we krwi. Marzycielstwo zaś i pewną potrzebę estetyki życiowej nabył wraz z powierzchowną kulturą od tej sfery, z którą mógł się stykać dzięki kolosalnemu majątkowi ojca i starannemu wychowaniu.

Jednakże i w tych godzinach marzycielskiego nastroju, któremu się chętnie poddawał, wybijało się pewne, odruchowe może wyrachowanie kupieckie.

Poddawał się mu, pielęgnował w sobie, bo to mu na razie dogadzało egoistycznie, zadowalało potrzeby wybitnie zmysłowej natury, szukającej ujścia w formie cokolwiek estetycznie szej, a zatem dającej mu większą i doskonalszą sumę wrażeń. Lecz wszystkie te względy i wyrachowania znikały momentalnie, kiedy dana chwila przeżywała się już w nim. I wówczas wobec nudy, która go ogarniała stawał się innym, bezwzględnym dla otoczenia, z którego czerpał niedawno jeszcze konieczne mu wrażenia — odchodził, aby dalej szukać tego, co silniej może i trwalej przytrzymać mogło wymagające, wiecznie chciwe poznania jego zmysły.

Wanke nie łudził się sam co do istotnych, rdzennych cech swoich marzycielskich nastrojów. Wiedział, że dominującą tu przyczyną były zmysły, tylko wysubtelnione sztucznie i bardziej żądne wyrafinowanych odmian użycia.

Kobiety jednak, do których zawsze z ciekawością i wzruszeniem zbliżał się Wanke, mogły łudzić się przekonaniem, że są przez niego kochane.

Bo naprawdę kochał je wszystkie w pierwszych czasach poznania. Kochał w nich uosobienie pragnień, które go nurtowały i te pragnienia otaczał tak gorącą miłosną tęsknotą — że mogły dawać wrażenie miłości samej.

(Ciąg dalszy nastąpi).



EDMUND ZECHENTER.

Sen wigilijny sieroty.

W dużej sali, przy długim nakrytym stole wraz z kilkudziesięciu „sierotami wojennemi" zasiadła Hanusia do wigilijnej wieczerzy. Siostry w białych kornetach towarzyszyły licznej gromadzie dzieci, które już nigdy nie podzielą się opłatkiem z rodzicami pod własnym dachem, bo ojców kula nieprzyjacielska pozbawiła życia, a matki z nędzy i chorób pomarły i spoczęły na obcych cmentarzach.

Hanusin tatuś poległ gdzieś daleko od wsi rodzinnej, matusia z dwojgiem dziewczątek opuściwszy spalony dom, pogrzebała po drodze maleńką jej siostrzyczkę, w parę miesięcy zaś później w drewnianym szpitalu uchodźców stygnącą ręką błogosławiła, tę, co przy życiu jeszcze pozostała... Potem malutką wywieźli na zielone wzgórze pełne krzyżów, gdzie biała brzoza miłościwie opuściła wiotkie swe gałęzie na nową mogiłę, jakby ją biorąc pod swoją opiekę — a w parę dni dziewczynka znalazła się w tym białym domu, dokąd ciągle przybywały nowe sieroty.

Dobrze im tam było. Starsze uczyły się, młodsze w dni pogodne wybiegały bawić się na duże boisko; w niedzielę chodziły do kościoła. Opiekunki nie skąpiły serca sierotom, dla których matczyne serca już bić przestały. To też wesoły gwar napełniał od rana sale i korytarze zakładu. Radość młodego życia, choć u samego progu tak okrutnie ciężką stopą wojny wdeptana w ziemię, odżywała niby wiotka roślina stratowana chwilowo, lecz nie zabita.

* * *

I we wigilię śmiały się twarzyczki dzieci, a uciesze nie było końca, gdy po odśpiewaniu kolęd przed oświetlonem drzewkiem każde rozpromienionemi oczyma przyglądało się otrzymanemu upominkowi.

Tylko przed rozpoczęciem wieczerzy wionął nad małemi główkami żal i smutek.

Bo już nie matka podawała opłatek, nie ojciec i rodzeństwo zasiedli do stołu...

Wspomnienia zatargały serduszkami... Dom rodzinny, uboga izba, ale „nasza" maleńka choinka u pułapu... Hej, nie wróci to już nigdy, nie wróci...

Siostra z cichemi, niebieskiemi oczyma, co tkliwą dłonią głaskała Hanusię po głowie i zawsze przed uśnięciem krzyżyk znaczyła na jej czole, mówiła do dziecka przy opłatku:

— Życzę ci kochana Hanusiu, abyś zawsze tak dobrze się uczyła, jak teraz i była tak grzeczną i posłuszną. Sprawisz tem największą radość tatusiowi i mamusi, co z nieba na ciebie patrzą...

Łkanie jęło wstrząsać wątłemi ramionkami dziewczynki — ale siostra przygarnęła ją do piersi uspokajając:

— Cicho maleńka, cicho... nie płacz, bo mamusi i tatusiowi ciężą łzy dziecka... Nie żałuj im nieba, łaski Bożej... A wiesz ty, że dzisiaj na niebieskich pokojach sam Pan Jezus przychodzi z opłatkiem do tych, co na wojnie polgnęli w obronie Ojczyzny.

Dziecko uśmiechnęło się przez łzy.

— To i do tatusia?...

— Tak, Hanusiu, i do tatusia...

Po chwili obeschły łzy w dziecięcych oczach. Po wieczerzy maleństwa uradowane „gwiazdką" tuląc do siebie lalki, baranki, pieski, usnęły słodko w swych małych, drewnianych łóżeczkach.

*

Jeszcze ciemno było w ogólnej sypialni, gdy Hanusia, przecierając oczy, spocona, z bijącem sercem, usiadła raptownie na pościeli.

Nie mogła zrazu zrozumieć, czemu ciemno naokół, gdzie jest... Przecie dopiero było tak jasno, tak biało...

Taka sama sala jak w zakładzie, tylko długa, bez końca i światła w niej tyle i blasku, że aż oczy bolały...

Jakieś ogromne stoły biało nakryte — przy nich nieprzeliczona moc ludzi... A sami żołnierze... Tylko jacyś bladzi, z czerwonemi szramami przez twarze...

Hanusia idzie przez tę salę, dziwiąc się okrutnie wszystkiemu. Patrzy, rozgląda się, chce sobie coś przypomnieć... Wtem jeden z żołnierzy siedzący opodal, wyciąga do niej ręce:

— Hanusiu!

— Tatuś! mój tatuś!

Tak samo ubrany jak wtedy, gdy z innymi w szeregu szedł bronić Warszawy.

Przypada do piersi ojca i już ma pytać gdzie matusia, gdy w tem ojciec szepnął tak jakoś dziwnie, że aż się zlękła:

— Patrz!

Spojrzała — i oniemiała na chwilę...

— Rety, Pan Jezus!... Jak w kościele we wielkim ołtarzu!... Wysoki, cały bieluśieńki i z takiemi samemi bez miary dobremi oczyma... Sunie przez jasną, srebrną salę... Rękę z opłatkiem wyciąga...

* * *

Gdy Hanusia po cudownym śnie oprzytomniała, zaraz, nie czekając świtu, zbudzonym dziewczynkom opowiedziała, jak to przed chwilą widziała niebo i wigilię zastawioną dla tych, co na wojnie za Polskę zginęli i Pana Jezusa, co przyszedł z nimi łamać się opłatkiem...

Kronika tygodniowa

„Nie święci garnki lepią", zdawaćby się zatem mogło, że dla kronikarza, który lat kilkanaście zajmuje się jednem i tem samem, t. j. rejestrowaniem i omawianiem spraw tygodnia, napisanie kroniki nie powinno przedstawiać żadnych trudności. Ale zdarzają się chwile w życiu ludzkiem, a tem samem i kronikarskiem, że staje się wobec faktu, wprawiającego w nielada kłopotliwe położenie, a w takiem jest obecnie niżej nie podpisany, mając się zabrać do złożenia P. T. Czytelnikom poraz dziewiąty od chwili wybuchu wielkiej wojny światowej życzeń Wesołych Świąt Bożego Narodzenia. Spełnienie tego zadania bywało zawsze trudnem, nawet wtedy, gdy stosunki były mniej więcej normalne, tem trudniejszem jest zaś obecnie, gdy im do tego bardzo daleko.

W pierwszym roku wojennym, 1914., łudził się kronikarz nadzieją, że wiosna przyniesie nam już tak upragniony pokój, zwłaszcza, że opierał się na uroczystem oświadczeniu cesarza Wilhelma wypowiedzianem do żołnierzy, iż, zanim liście opadną, oni powrócą do swych zwykłych zajęć. Kronikarz zabierał głos w grudniu, gdy drzewa były już dawno z liści ogołocone, a wojna, nic sobie nie robiąc ze słów cesarskich, szalała w najlepsze, ale pocieszał się nadzieją, że, skoro wół, mający cztery nogi, może się potknąć, może się także pomylić i cesarz, chociażby nawet uchodzący za tak mądrego, za jakiego uważa się dotąd Wilhelm II. Pocieszał jednak siebie i Czytelników, iż wojenne życzenia już w roku następnym zmienią się na pokojowe. Tymczasem rzeczywistość wykazała, że tym razem pomylił się znów kronikarz. I znów przeszło lat kilka, a co roku obiecywaliśmy sobie, że przecież doczekamy się końca naszej biedy. Pierwsze przebłyski jaśniejszej przyszłości rozjaśniły nam horyzont dopiero w roku 1918., gdy Niemców i ich aliantów położono na obie to patki, odtąd nadzieje nasze rosły z roku na rok a każdorazowe życzenia świąteczne oparte były na tem głębokiem przeświadczeniu, że dobroczynne skutki owej wielkiej wojny, o których nam tyle opowiadano, nie każą na siebie już zbyt długo czekać. W siódmej świątecznej kronice wojennej wyraziliśmy radość, że skończyło się siedm lat chudych, a teraz kolej na tłuste, rezultat przecież był zupełnie niespodziewany, bo następstwa wojny okazały się daleko gorszemi i nieznośniejszemi, niż ona sama. To też ósma kronika świąteczna była wyrazem rezygnacyi i pocieszeniem siebie i innych, że złe nie może trwać wieki i musi się raz skończyć, być może już nawet w najbliższym roku. Doświadczenie nauczyło nas, że w stawianiu przepowiedni powinno się być bardzo ostrożnym, zwłaszcza, jeśli we wigilię św. Andrzeja uleje się komu figa.

Dziś staje kronikarz przed Czytelnikami poraz dziewiąty i musi przyznać, że z nadziei, jakie robiliśmy sobie rok temu, prawie ani jedna nie zamieniła się w czyn, te zaś, które się spełniły, nie zadowoliły ogółu, lecz tylko poszczególne jednostki. Pisaliśmy wówczas, że stosunki nasze w ciągu roku ułożą się tak pomyślnie, iż w roku 1922. ze zupełnym już spokojem i swobodą ducha zasiędziemy do stołu wigilijnego i odetchniemy raz nareszcie, otrząsnąwszy się z przeciwności, jakie nam przez lat ośm dokuczały. Nadszedł grudzień roku 1922., a z nim i wieczór wigilijny, ale jakoś trudno doszukać się takich na których twarzach malowałoby się zadowolenie, zwłaszcza wobec warunków, w jakich się obecnie znaleźliśmy. Mamy, co prawda, niepodległą i zjednoczoną Polskę, mamy już i Konstytucyę, mamy nawet nowy, pierwszy zwyczajny Sejm Rzeczypospolitej, ale pożal się Boże, jak się przedstawia życie nasze, tak ze względu na stosunki wewnętrzne, jak i zewnętrzne. Te ostatnie możnaby jeszcze jakoś przecierpieć, gdyż, przynajmniej narazie, mamy względny spokój z sąsiadami, wewnętrzne natomiast są tak opłakane, jakimi nie były nigdy, nawet w latach najcięższej niewoli. Wzajemnie ścieranie się ze sobą poszczególnych partyi politycznych, uważających się każda za jedynie powołaną do objęcia steru rządów w nowo odbudowanej Ojczyźnie, wprowadziło taki chaos, iż poprostu sytuacya przedstawia się bez wyjścia, a zarzut, jaki nam zawsze czyniono, iż nie umiemy się rządzić, wydaje się być najzupełniej uzasadniony. Być może, że każda ze stron, ścierających się ze sobą, ożywiona jest jak najlepszemi chęciami i w to bynajmniej wątpić nie chcemy, metody jednak, jakich w dojściu do obranego celu używają, są tak fałszywe i z dobrem ogółu sprzeczne, iż nie trzeba być bynajmniej wytrawnym statystą, lecz wystarczy posiadać bodaj troszkę tak zwanego chłopskiego rozumu, ale zdrowego, aby powiedzieć: „Przestańcie dzieci, bo się źle bawicie!..."

Właśnie w przededniu Świąt Bożego Narodzenia stanęliśmy wobec faktu w dziejach naszych nieznanego, a jest nim zamordowanie pierwszego, dopiero przed kilku dniami obranego prezydenta Rzeczypospolitej ś. p. Narutowicza. Jest ono wynikiem zgubnych dla naszego społeczeństwa walk partyjnych, które prowadzą chyba do tego, aby zagranica, opiekująca się nami aż nazbyt troskliwie, widziała się zmuszoną poruczenia któremuś z naszych sąsiadów mandatu zaprowadzenia w Polsce normalnych stosunków. Samochcąc staczamy się w przepaść, z której żadna siła wydobyć nas nie potrafi bo społeczeństwo, w którego łonie niema zgody, nie może sobie rościć praw do życia samodzielnego. Bezstronnemu obserwatorowi, patrzącemu na nasze stosunki, trudno sobie wyrobić przekonanie, która właściwie ze stron ze sobą wojujących może sobie rościć pretensye do nazwy państwowo-twórczej, a która do państwowo-burczej, obie bowiem, jnk gdyby siliły się na to, aby jak najwięcej zrobić złego, zaprowadzić nieład wewnątrz, a tem samem zrazić do nas zupełnie zagranicę.

To też skutki tego widoczne są na każdym kroku. Jesteśmy wprawdzie na papierze potężnem państwem, ale niestety, musimy się do tego przyznać, że się z niem nikt nie liczy i nie ma do niego zaufania, bo i jakże możnaby je mieć do ludzi, nieumiejących się rządzić w swoim własnym domu który ledwie zbudowali, już podkopują jego podwaliny. Wiadomym znakiem owego braku zaufania jest obniżająca się z dnia na dzień wartość naszej waluty bardzo już bliskiej tego stanu, w jakim się znajduje obecnie rosyjska lub austryacka Spotykamy się nieraz w pismach z notatkami, iż naprzykład budżet rosyjski przedstawiony jest w kwotach nazywanych dla swej wysokości „astronomicznemi", ale widocznie nie zdajemy sobie sprawy z tego, że i nas czeka coś podobnego i to już w niedalekiej przyszłości, skoro dziś tysiącmarkówka nie przedstawia nawet takiej wartości, jak przed wojną banknot jednokoronowy, nie mówiąc już o srebrnej jednokoronówce. Urzędnik lub robotnik pobiera wprawdzie milionowe wynagrodzenia, cierpi jednak większą biedę, niż wówczas, gdy dochody swe obliczał na korony, a niedobór kilkukoronowy uważał za katastrofę.

W parze z rozpolitykowaniem się na niezdrowych zasadach idzie i dezorganizacya na polu ekonomicznem a każdy krok przekonuje nas, że nie potrafimy się tak zagospodarować, aby nasze zasoby dla nas wystarczyły, skoro jesteśmy w tem szczęśliwem położeniu, iż posiadamy obfite zapasy surowca, mogące wystarczyć nie tylko na pokrycie własnych potrzeb, lecz także i na wywóz za granicę. Wszystkie dziedziny naszej gospodarki, jak to już niejednokrotnie wykazywaliśmy, szwankują, a maszyna państwowa porusza się wprawdzie, ale tak trzeszczy i takie wydaje zgrzyty, jak gdyby miała ochotę lada chwila się rozlecieć, zwłaszcza, że pomagają jej do tego nie tylko obcy, którym byliśmy zawsze solą w oku, ale i swoi, a przynajmniej uważani za swoich, przygarnięci przez nas z litościwem sercem po to chyba, aby właśnie oni zadali nam cios ostatni.

Przyzna każdy, że składanie świątecznych życzeń w takich warunkach nie jest niczem łatwem i nie może być zaliczanem do przyjemności, jeśli się do tego doda, że każdy dzień przekonuje nas o tem, iż wszystko, zamiast się naprawiać, coraz bardziej się psuje. Gdy w pierwszych latach wojny narzekaliśmy na nieznośne stosunki, płacąc przed wilią za kilo karpia kilka koron, cóż powiedzieć możemy dziś, gdy za niego żądają po kilka tysięcy marek?... Oczywiście są ludzie między nami, którym podobny wydatek przed Świętami różnicy nie zrobi, ale takich jest niewielu, gdyż wszyscy lichwą i paskiem zajmować się nie mogą, większość natomiast i to bardzo znaczna, wśród niej ludzie o budżecie rocznym, przekraczającym milion, na podobny zbytek i inne z nim połączone wydatki pozwolić sobie nie mogą. Wyrażenie „milioner" dzięki wojnie i jej następstwom spopularyzowało się zupełnie, miliarder nie należy u nas do rzadkości, aby jednak dać folgę ochocie, a do tego dają właśnie sposobność zbliżające się święta, trzeba być multimiljarderem. Ponieważ zaś ludzi dwu tych ostatnich kategoryi stosunkowo u nas mało, przeważa zaś pierwsza, pracująca tak umysłowo, jak i fizycznie, a wynagrodzona bardzo skąpo, bo prawie nigdy w stosunku do rosnącej coraz bardziej drożyzny, należy się spodziewać, że nastrój przy stole wigilijnym i w dziewiątym roku powojennym, jeśli się go tak nazwać godzi, nie będzie wcale weselszym od poprzednich lat, przeciwnie jeszcze gorszy, zaczyna bowiem po woli opuszczać nadzieja, byśmy kiedykolwiek mogli doczekać, jeśli nie lepszych jak przed wojną, to bodajby chociaż podobnych czasów. Chociaż to niemoralnie ale mimo woli przeklina się w duchu i głośno wszystkich tych, którzy się przyczynili do wybuchu tej wojny, zakrojonej początkowo najwyżej na kilka tygodni, a powoli zmieniającej się w trzydziestoletnią, przekleństwa te zaczynają się zaś powoli spełniać, bo oto przyszedł mróz na psa, i cesarz Wilhelm, jeden z głównych winowajców, ożenił się poraz drugi na starość. Dotknął go palec Boży jeszcze za życia, nie należy wątpić, że podobny los czeka i jego współwinnych.

Kronikarz może przysiądz, że do wybuchu wojny w żadnym wypadku się nie przyczynił, choć już od lat piętnastu udziela co tydzień politykom światowym swych cennych wskazówek, których oni jednak nie chcą się trzymać i na tym punkcie właśnie błądzą. Skoro zatem jest niewinny, dlaczegóż ma cierpieć, bo za cierpienie i to ciężkie uważa obowiązek złożenia życzeń świątecznych Czytelnikom w tak miłych warunkach. Od czego zacząć, jak życzyć i na czem skończyć, oto pytanie, jakie sam sobie stawia, a na nie nie znajduje odpowiedzi!

Ale trudno.. Tak każe tradycya, tak każe obowiązek kronikarski, któremu trudno się sprzeciwić, że w numerze świątecznym muszą być życzenia i to szczere, ze serca płynące. Niechaj więc będzie niemi przedewszystkiem życzenia zdrowia, bez potrzeby uciekania się do pomocy lekarza i łacińskiej kuchni, bez robienia znajomości z jakiemiś tam grypami i podobnemi im przybłędami, ponadto szczęścia we wszelkich przedsięwzięciach, zatem w handlu (ale nie w pasku) miłości i. t. d. przedewszystkiem zaś sporej dozy cierpliwości, która pozwoliłaby przetrwać jakoś ten dziewiąty rok i doczekać dziesiątych Świąt Bożego Narodzenia od chwili wybuchu wojny bodaj tylko po to, aby się przekonać, czy one będą gorsze, czy też może przecież lepsze od poprzednich.

Odpowiednio do życzeń układa też gratulant także i swą minę, starając się uczynić ją jak najprzyjemniejszą, bo to nic nie kosztuje, nie może jednak powiedzieć tego, aby do spełnienia tego uroczystego aktu przywdział godową szatę, gdyż frak weselny dawno już mole zjadły, a przedwojenny czarny surdut przyświeca Narodowi dziurami na łokciach, służąc do codziennego użytku i mając zakryć różne defekty innych części garderoby. I opłatka nie trzyma też w swej dłoni, gdyż mąka obecnie tak mało kosztuje, iż na zaopatrzenie się w ten artykuł i obdzielenie nim wszystkich pozwolić sobie może paskarz albo lichwiarz, ale nie kronikarz *„Nowości Illustrowanych"* jeden z najczynniejszych członków „gołej demokracyi".

Dalszy ciąg życzeń, jeśli komu tyle ich nie wystarczy, w następnym numerze, zakończenie zaś w noworocznym.

nosiła gmina, co często przechodziło jej finansowe siły. Muzeum spełniało swoje kulturalne i narodowe zadanie przez szereg lat. Promieniało duchem polskim nie tylko na Kraków, ale na całe ziemie nasze. Trzeba było widzieć rodaków z najdalszych kresów zaboru rosyjskiego, z pod pięści pruskiej, z jakiem skupieniem niemal nabożeństwem oglądali zgromadzone dzieła. Niestety brak miejsca podciął rozwój Muzeum i to już przed wojną. Nagromadzone zabytki były stłoczone w salach Sukiennic. Zwiedzanie równocześnie przez większą ilość osób narażało dzieła na uszkodzenie, a zwiedzający wzajemnie sobie przeszkadzali. A przecież wtedy zbiorowe wycieczki ograniczały się tylko do zaboru austryackiego. Pomyślano już wtedy o innym obszerniejszym lokalu i zdawało się, że kwestyę braku miejsca rozwiąże budynek poszpitalny na Wawelu. Gmach ten po opróżnieniu go przez wojsko wydzierżawił Wydział Krajowy gminie m. Krakowa na szereg lat. Zabrano się gorliwie do jego adaptacyi, Kraków wyłożył na jego restauracyę krocie tysięcy koron. Tymczasem rząd polski unieważnił kontrakt b. Wydziału Krajowego z gminą m. Krakowa zabierając dla siebie gmach poszpitalny. Zbiory muzeum znalazły się bez dachu. Do Sukiennic nie można już ich było wprowadzać, bo frekwencya, dzięki zniknięciu kordonów, tak się w Muzeum wzmogła, dochodząc nieraz do kilku tysięcy osób dziennie, że rozmieszczenie zabytków w Sukiennicach w sposób jak przed wojną, albo naraziłby zbiory na niszczenie lub rozkradanie, albo musiałoby się wejście co pewien czas zamykać i wpuszczać do sal niewielką ilość osób naraz, a zwiedzającym ograniczać czas oglądania zbiorów. Obie ewentualności musiały być wykluczone. Ze względu na wielką ilość jeszcze spakowanych dzieł sztuki nie wypadało nic innego, jak ściany Sukiennic wbrew zasadom muzealnictwa i ze szkodą zwiedzających wytapetować obrazami pod sufit, najcenniejsze zaś zabytki przeszłości wystawić w pałacyku Czapskich już i tak wypełnionym zbiorami. Z pałacyku tego zrobił się magazyn, czy skład antykwaryusza.

Ta bezdomność Muzeum była troską nie tylko dyrekcyi Muzeum, gminy m. Krakowa, ale i wszystkich, miłujących przeszłość i jej zabytki, obywateli krakowskich. Budowie nowego gmachu stawały na przeszkodzie kolosalne w dzisiejszych czasach koszta. Sytuacya zdawała się bez wyjścia. Dopiero szczęśliwie rzucona myśl przez redaktora Jana Grzywińskiego wprowadziła sprawę gmachu muzealnego na nowe tory, wiodące do zrealizowania. Przesłanką tej myśli była chęć społeczeństwa polskiego upamiętnienia jakimś realnym monumentalnym czynem chwili odzyskania niepodległości Polski. Na kolumny zwycięztwa, odosobnione łuki tyumfalne na wzór rzymski, nas nie stać. Pomnik Wolności Ojczyzny winien świadczyć nietylko o ideowości ale i o praktyczności dzisiejszego pokolenia. P. Grzywiński związał te oba kierunki w swym projekcie i wystąpił ze zdaniem: budujmy Muzeum Narodowe w Krakowie jako Pomnik Wolności.

Projekt ten znalazł gorące uznanie sfer miarodajnych. Przedstawiciele nauki, sztuki, Rada miejska jednogłośnie go zaaprobowali. Przystąpiono do realizacyi. Gmina oddała bezpłatnie grunt pod budowę i uchwaliła pomoc finansową. Wykonania planów podjął się inicyator i propagator budowy własnego gmachu Muzeum Narodowego p. Szyszko-Bohusz, architekt, człowiek o wiedzy fachowej i duszy artysty nie na miarę dzisiejszą, znany i ceniony wysoko z swej pracy nad odnowieniem i restauracyą Wawelu. Stworzył on dzieło monumentalne, które świadczyć będzie o jego twórcy i dzisiejszym pokoleniu. Nowy gmach stanie u wylotu ulicy Wolskiej i stworzy całość wiążącą się z kompleksem zabudowań Krakowa, a będącą równocześnie przejściem do wolnej przestrzeni, jaką są Błonia i dalszy krajobraz.

Projekt Muzeum Narodowego dla zilustrowania którego przytaczamy kilka zdjęć z rysunków prof. Szyszko-Bohusza opracowany został w dwóch alternatywach. Różnice polegają wyłącznie na sposobie rozwiązania placu u wylotu ul. Wolskiej, samego zaś rozplanowania muzeum nie dotyczą. Grunt przeznaczony pod budowę muzeum składa się z dwóch parcel odgraniczonych od siebie ulicą Wolską, a należących do kompleksu gruntów pofortecznych na których w przyszłości wzdłuż Alei Trzech Wieszczów stanie szereg gmachów monumentalnych: poza Muzeum Narodowem stanie tu biblioteka uniwersytecka, budynki archiwum,

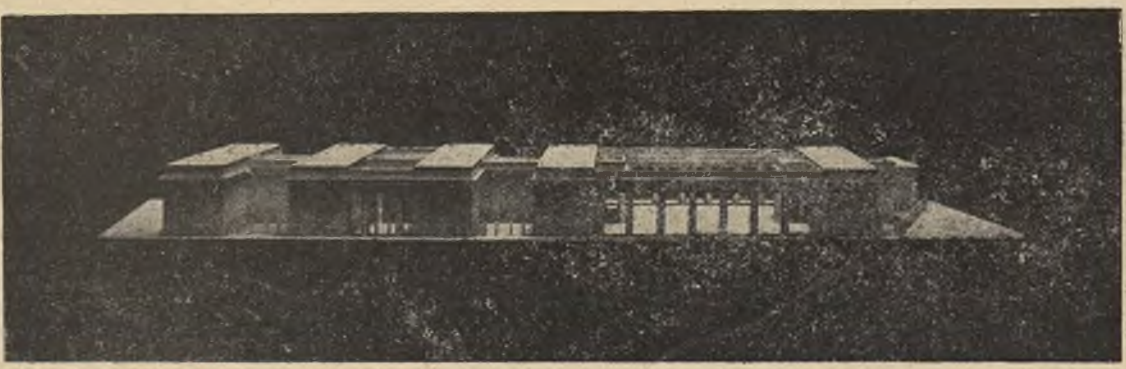


Zamordowanie pierwszego prezydenta Rzeczypospolitej: Eksportacya zwłok ś. p. prezydenta Narutowicza z Belwederu do Zamku królewskiego. Fot. S. Wolski, Warszawa.



Zamordowanie pierwszego prezydenta Rzeczypospolitej: Trumna ze zwłokami ś. p. prezydenta Narutowicza przed Zamkiem królewskim. Fot. S. Wolski, Warszawa.

akademia górnicza, pałac sprawiedliwości i t. d. Będzie to nowa dzielnica budynków publicznych usytuowana tem szczęśliwiej, że liczne rzesze Krakowian spieszących na Błonia te płuca Krakowa, nie ominą tej dzielnicy i tem samem nie dopuszczą do wytworzenia się tutaj tej martwoty jaka zwykle charakteryzuje dzielnice tego rodzaju. Najlepiej pod tym względem usytuowanym będzie gmach przyszłego muzeum. Ulica bowiem Wolska jest już obecnie arteryą spacerową, niezliczone tłumy przesuwają się tędy każdej niedzieli spiesząc na Błonia, na Wolę Justowską, lub do Parku Jordana, na deptak spacerowy, na matche piłki nożnej lub nareszcie na rewie wojskowe i msze polowe u stóp kopca Kościuszki. Bez przesady



Budowa Muzeum Narodowego w Krakowie jako Pomnika Wolności: Model gipsowy wszystkich pawilonów muzealnych, połączonych poprzez Plac Wolności kolumnadą (alternatywa 2). Widok od strony Alei.

stwierdzić można, że rok rocznie miljony osób przewiną się wzdłuż fasad przyszłego gmachu muzeum przez Plac Wolności lub pod sklepieniem Łuku Tryumfalnego.

Budowa Pomnika Wolności jest najlepszem rozstrzygnięciem kwestyi architektonicznego rozwiązania wylotu ul. Wolskiej. P. Szyszko Bohusz rozwiązuje ten problem wiążąc dwa przeciwległe pawilony muzeum bądź to dwiema kolumnadami, bądź też kolumnadą z Łukiem Tryumfalny w pośrodku. Rozkład pawilonów muzealnych w obydwu alternatywach jest identyczny: plac powstający u wylotu ulicy Wolskiej dzieli grunt przeznaczony pod budowę na dwie nierówne części. Część prawa, idąc od miasta, znacznie mniejsza, pomieści pawilon administracyjny, część zaś lewa, właściwe pawilony wystawowe i muzealne. W pawilonie administracyjnym przewidziane są biura



Rynek krakowski przed świętami: Zdjęcie Rynku Głównego w czasie targu na choinki.

i kancelarye dyrekcyi muzeum, czytelnia i biblioteka, pracownie muzealne i t. d.

Obie te grupy budynków — z jednej strony pawilon administracyjny z drugiej właściwe muzeum — związe poprzez plac ustawiony na środku Placu Wolności wielki Łuk Tryumfalny związany kolumnadami z obydwoma wejściami do pawilonów i tworzący jak gdyby otwarty westybul dla muzeum, albo dwa szeregi kolumnad, zamykających zespół z dwoma pawilonami czworobok Placu Wolności. O wyborze jednego z tych motywów zadecyduje na najbliższem posiedzeniu Komitet budowy muzeum jako Pomnika Wolności.

Opisane tu plany szczegółowe spotkały się z pełnem uznaniem czynników miarodajnych, przyjęto je jednomyślnie. Strona techniczna została rozwiązaną. Pozostaje druga t. j. finansowa, a tę rozwiąże sam naród polski spiesząc ofiarnie z groszem w myśl hasła „Naród sobie!“

Z TEKI REDAKCYJNEJ

Poezye J. A. GAŁUSZKI: UŚMIECHY BOGA — DUSZA MIASTA.

Na brak piszących rymami narzekać nie możemy. Sztuka „robienia wierszy“ stała się przystępną szerokim kołem. Nawet pomiędzy grafomanami, pozbawionymi całkiem talentu poetyckiego, znajdują się tacy, co uprawiają swe rzemiosło poprawnie, nieraz zgodniej z gramatyką i z lepszym doborem rymów, niż Wyspiański. Ale w tym tłumie „poetów“ rzadko się można spotkać z talentami szczerymi, oryginalnymi, wnoszącymi coś własnego do skarbnicy poezyi.

Należy do nich bezsprzecznie p. Gałuszka. — Pierwsze dwa jego zbiory „Promień i Grom“ i „Biesiada Kameleonów“ zwróciły na siebie uwagę i nagrodzone zostały na konkursie b. Ministerstwa Kultury i Sztuki. Nie byłoby to zresztą miarodajne, nie przykładamy bowiem wagi do tego rodzaju orzeczeń, zwłaszcza, że występy b. ministerstwa w roli urzędowej wyroczni często bywały dość niefortunne. Ale tym razem, co stwierdzić należy, urzędowa opinia była w zgodzie z opinią krytyków, podnoszących wysokie zalety obu zbiorów

Sam poeta rzucił na czele drugiego z nich nie samochwalcze, ale dowodzące wiary w siebie słowa:

Wierzę, że mi wraz z życiem w pierś moją zaklęto
wiekuistą tęsknotę do światła i słońca,
a z tą wieków tęsknotą siłę niepojętą,
której ni granic niema — początku ni końca:..
Wierzę mocno we wszystko, w co uwierzyć trudno,
że życie jeno gwiazdy winno brać na skronie,
że w duszę mi zaklęto wieków bajkę cudną,
bajkę nieskończoności — i ta w piersi płonie...

Ale poeta miał nie tylko wiarę w siebie, w swą siłę i w bajkę cudną w duszy mu zaklętą. Posiadał on i inną wyższą wiarę, „skarb“, nie każdemu dany.

Kiedy przechodzę koło tych ludzi
obcych, idących ulicą,
jakaś się litość w piersiach mych budzi
i nie dlatego, że losy lute
na barki trudu zwaliły im brzemię,
bom sam człowiekiem jest pracy,
jeno dlatego, że jak ci żebracy
nieśmiałym wzrokiem pozierają w ziemię,
że noszą w piersi swej serca zatrute...

— — — — — — — — — — — —

A ja sobie idę światem,
jak byłbym magnatem...
bo w mojej piersi skarb bezcenny niosę,
skarb, który tamci na zawsze stracili...
bo w piersi niosę wiarę...

Mimo tej wiary przychodzą czasem takie chwile, w których poecie „smętek wieje z lic“.

Przychodzą czasem takie dnie,
że coś się w piersi człeka rwie,
że coś tam w głębi boli —
Ot — zwykły ludzkich rzeczy bieg:
Dwoma drogami chodzi człek
i doli i niedoli...

Czasami znów przychodzi chwila „ogromnej, przeogromnej ciszy“.



Z teki redakcyjnej: Józef A Gałuszka, autor „Uśmiechów Boga“ i t. d

I wtedy serce człowiecze nabrzmiewa
jakimś ukojem, tkliwością bez granic —
szedłbyś całować kamienie i drzewa
i wszystkich ludzi bez wyjątku — za nic,
wszystkich jednako brałbyś w swe ramiona,
wszystkich do stołu zapraszałbyś w gości...

W takich chwilach zapewne powstał trzeci zbiór utworów Gałuszki p. t. „Uśmiechy Boga“. Jest to jakby pieśń nad pieśniami. Ale nie ta Salomonowa, dysząca żądzą i lubieżnością. To pieśń spokojna, cicha, prosta, serdeczna, wprawdzie z przymieszką erotyzmu, ale utrzymanego w granicach. Do domu poety przyszedł „najdostojniejszy gość“: Bóg, a z nim przyszła i miłość.

Pójdź ze mną w słońce dziewczyno,
twarz swą do moich przytul lic,
niech się twe oczy w cichej mgle rozpłyną,
niech wargi źrałą krwawią jarzębiną
i nie mów — nie mów nic.

— — — — — — — — — — —

Za to, żeśmy Go radością uczcili
wielką, dziecinną prostotą —
nad naszą chatą w dzień godów wigilii
cicho zawiesił szczęścia gwiazdę złotą.
I szczęście ku nam idzie każdą miedzą,
idzie z rozstai, z kwietnych, polnych dróg
Dziwią się ludzie, bo pewnie nie wiedzą,
że nam na godach starostował Bóg.

A kiedy potem rezurekcyjne dzwony się ozwały, a zmartwychwstały Chrystus chodził niwami.

Poszliśmy polem, dalekiem, szerokiem,
ze szczęściem naszem sami,
święcić serc własnych szczęsne zmartwychwstanie —
Na oziminą zarunionym łanie
stanął On, Chrystus przed nami
świetlistym, jasnym obłokiem
i błogosławił serc naszych prostocie:
w radości wielkiej schyliliśmy głowy...
Pierś nasza była tak szczęściem wezbrana,
tacyśmy byli na duszach swych biali,
żeśmy przed słońcem padli na kolana,
żeśmy z nadmiaru radości płakali.

Z małym wyjątkiem cały ten zbiór „Uśmiechy Boga“ jest hymnem na cześć dobrego Stwórcy i nastrojowym obrazkiem szczęścia dwojga dusz i ciał, spojonych ze sobą czystą miłością. Są w nim i piękne opisy przyrody, są echa potężnej walki żywiołów (Na grani Tatr, Święty Boże), a i nieco humoru (Żabi sejmik)... A wszystko to podane w formę nienaganną, świetnym, bogatym językiem, bez dziwactw i mglistości, w których lubuje się tylu młodych poetów w pogoni za rzekomą oryginalnością.

Te same zalety języka i formy cechują ostatni zbiór poezyi Gałuszki: „Dusza miasta“. Tytuł mómi o motywie natchnień poety. Trudno odgadnąć, czy miasto przemówiło do niego samo bezpośrednio, czy też uległ modnemu kierunkowi. Prędzej stało się to drugie. Wszakże on sam nazywa miasto „przeklętem“, widzi jego macki polipie, „dusi go ono i dławi“ — mięsza ono „łzy skryte na dnie serca z brudem, z plugawym rynsztokiem“ — a jednak szuka w rynsztoku „pogubionych gwiazd“. Ale plugactwa znajduje wiele, a gwiazd bardzo mało. Do tych należy „Weteran“, serdeczny wiersz, poświęcony żołnierzowi roku 1863, „Babie lato“, „Zwyczajna historya“. Za to realizmem, w którym jakoś nie do twarzy jest poecie, tchną „Ulicznicy“, „Strajk“ i „Świniarze“ i po części serya „szpitalna“. Ku końcowi zbiorku spotykamy kilkanaście serdecznych strof, pełnych boleści i żalu za utraconem szczęściem — stanowią one niejako smutny epilog do świetlanych „Uśmiechów Boga“. Należy wreszcie zwrócić uwagę na wiersze „Poeci“ i „Duszy-ście ludzkiej nie widzieli“, w którym poeta czyni wyrzuty „niewolniczym łbom“ i „karłom przyziemnym“, że nie zrozumieli „wielkiego czasu“, czczą dawne złote cielce, a ludzi czynu „zwą mianem Donkichotów i szaleńcami straconej reduty“. U poety, odznaczającego się jasnością myśli i wysłowienia, są to może jedyne utwory mgliste, do których potrzeba komentarza.

Żałować przychodzi, że ciasne rozmiary sprawozdania nie pozwalają dłużej zatrzymać się nad utworami poety tej miary co Gałuszka i poświęcić więcej miejsca wykazaniu ich niepospolitych piękności. *B.*

Rynek krakowski przed Świętami.

Jak malowniczy widok przedstawia ten zaimprowizowany na Rynku krakowskim lasek szpilkowy!

Jak żywo muszą bić serduszka naszych milusieńkich na widok tych świerczków, które dziecięca ich fantazya przystraja już w rozmaite smakołyki, świetne ozdoby i jarzące świeczki kolorowe!

Niestety! nie dla każdego jest dziś dostępną choinka (z krakowska „sadem“ zwana), której cena za pojedynczą sztukę dochodzi od 7.000 10.000 Mkp.

Od Wydawnictwa.

Z nadchodzącym Nowym Rokiem rozpoczynamy **dwudziesty rok** naszego wydawnictwa, które zawsze starało się służyć dobrej sprawie i takiem chce i nadal pozostać. P. T. Czytelnicy mieli już dość sposobności poznania kierunku naszego pisma, nie podajemy też szumnych zapowiedzi na przyszłość, zaznaczamy jedynie, że z raz obranej drogi nie zboczymy, a „NOWOŚCI ILLUSTROWANE“ i w dwudziestym roku swego istnienia pozostaną wierne zasadom, dzięki którym już w pierwszym roku zdobyły sobie wstępnym bojem ogólne uznanie i mogły stanąć śmiało do walki z zalewającemi nasz kraj wiedeńskiemi pi-śmidłami. Że stworzenie podobnego organu było na czasie, tego dowodem ogólna sympatya, jaką „NOWOŚCI ILLUSTROWANE“ cieszą się na całym obszarze ziem polskich i między amerykańską Polonią. Z zadowoleniem musimy stwierdzić, że powodzenie to zawdzięczamy tylko własnej, seryo pojętej pracy, a ta zasada pozostanie i w dalszym ciągu naszym drogowskazem.

Od Redakcyi.

Wszystkim naszym P. T. Prenumeratorom, Czytelnikom, Korespondentom i Przyjaciołom zasyłamy serdeczne życzenia

„Wesołych Świąt“!

LUDWIK AKSMAN

Amerykańsko-Polski Dom Importowo-Handlowy.

Wielki przemysł idzie w parze z kulturą i postępem, a prócz wielu wielkich zasług, ma jeszcze jedną niespożytą: ułatwienie pracy człowieka i zastępowanie jego wysiłków umysłowych i fizycznych – mechaniczną pracą

Wyniki na tym polu są wprost zdumiewające, aczkolwiek my przyzwyczajeni do technicznych zdobyczy kultury – mało już dzisiaj na to zwracamy uwagi. Maszyna parowa zastąpiła komunikacyę kołową po drogach i gościńcach, zastąpiła ciężką pracę robotników we fabrykach i warsztatach. Skromna maszyna do szycia ulżyła spracowanym rękom szwaczki, i.t.p.

Wiek XX, śmiało rzec można rozpoczął się i rozwija pod znakiem dwóch wiekopomnych wynalazków: aueroplanu i maszyny do pisania. Maszyna do pisania sprowadziła istotny przewrót, zrewolucyonizowała, że tak powiemy cały świat piszący: biura. redakcye, gabinety polityków, pracownie uczonych i literatów. Maszyna do pisania zastąpiła tysiące rąk pracowników – stworzyła nowy świetny dział przemysłu. Ameryce należy się zaszczyt pomysłu i skonstruowania pierwowzoru maszyny do pisania. U nas w Polsce zwolna zyskiwała ona prawo obywatelstwa; dziś panuje wszechwładnie dzięki rozumnemu, systematycznemu wprowadzeniu jej. Ten – tryumfalny pochód zawdzięcza genialnemu — wprost powiedziawszy menerowi i leaderowi

Ludwikowi Aksmanowi.

P. Ludwik Aksman, przypominający swym typem amerykańskiego przemysłowca-dżentelmena, człowiek w sile wieku – założył skromną zrazu agencyę amerykańskich maszyn do szycia w Krakowie w r. 1902. Postanowiwszy sobie silnie wyrugowanie niemieckich wyrobów i rajzenderów z Ojczyzny – zabrał się z całym zapałem młodzieńczym do dzieła.

Wykształciwszy się teorytycznie i praktycznie za granicą – Ludwik Aksman doprowadził do tego, że sam jest dziś pierwszą powagą fachową nietylko w kraju, ale i za granicą w kołach przemysłowych poważnie z nim się liczą, czego najlepszym dowodem powoływanie go do rozlicznych jury w kwestyach dotyczących przemysłu maszyn do pisania P. Ludwik Aksman jest zaprzysiężonym eksportem sądowym w tym kierunku i współpracownikiem wielu zagranicznych fachowych publikacyi.

Praca prowadzona z prawdziwem zaparciem się siebie, wspierana szlachetną ambicyą wielkiego przemysłowca – wydała niebawem świetne rezultaty.

W Krakowie przy ul. Dunajewskiego L 2. – zajmuje wspaniały apartament na całym parterze w budynku frontowym i oficynach.

Wchodzimy do salonu recepcyjnego. Uprzejmy gospodarz zaprasza nas do zajęcia miejsca. Garnitur klubowych mebli, stoły, stoliki, amerykańskie biurka i szafy, lśniąca parkietowa posadzka, mnóstwo przyborów, telefon z rozlicznemi rozgałęzieniami – wszystko to świadczy o zamożności i solidarności olbrzymiego przedsiębiorstwa. – W podobny sposób urządzone jest biuro dyrektora Aksmana i biura obydwóch sekretarzy. Za kancelaryami znajduje się wzorowo prowadzona Uczelnia pisania na maszynie, Buchalterya, wreszcie w oficynach wastaty reperacyjne.

Przy ul. Szewskiej znajduje się filialny oddział ze sklepem i obszernymi magazynami. – Filie reprezentacyjne posiada firma Ludwik Aksman w Warszawie, Lwowie, Lublinie – w toku organizacyi są zaś inne miasta Polski. Sława tej instytucyi wybiegła daleko poza granice Rzplitej, to też p. Aksman zasypywany jest przez zagraniczne firmy prośbami o ich zastępstwo. Firma Aksman jest jednak ostrożną i wybredną w przyjmowaniu zastępstw wychodząc z słusznej zasady, że tylko pierwszorzędne domy zastępuje firma L. Aksman ma między innemi wyłączne przedstawicielstwo następujących firm na Polskę:

1). L C. Smith &. Bross Typewriter Comp. (fabryka maszyn do pisania) w Syrakurze St. Z. A.
2). Elrat Fiszer Company (fabryki maszyn buchalteryjnych) Farisburg.
3). Crewn Rilban &. Carbon New York (fabr. kalki i taśm).

Będziemy niebawem mieli jeszcze sposobność pomówić z Czytelnikami naszymi o imponującem tem przedsiębiorstwie i dzielnym jego kierowniku i założycielu Ludwiku Aksmanie.

Do P. T. Fotografów!

P. T. Fotografów, tak zawodowych jak amatorów, upraszamy uprzejmie o nadsyłanie nam robionych przez się zdjęć ciekawszych wypadków, mogących zainteresować ogół Czytelników, celem reprodukowania ich w naszem piśmie. Do każdego zdjęcia należy dołączyć notatkę, zawierającą treściwie zebrane szczegóły, ewentualnie wskazać numer któregoś z pism codziennych, gdzie znajdowała się już odpowiednia wzmianka.

Za nadesłane nam zdjęcia, o ile nadadzą się do umieszczenia w naszem piśmie, wypłacać będziemy ustalone za wzajemnem porozumieniem honoraryum, jakoteż na żądanie zamieszczać pod ryciną nazwisko lub firmę wykonawcy zdjęcia.

Nadają się do tego w szczególności obchody narodowe, towarzyskie, rocznice, zgony wybitnych osobistości i td., przedewszystkiem zaś zdjęcia, odnoszące się do senzacyjnych wypadków dnia, zaszłych w miejscu lub okolicy. Pospiech w nadsyłaniu fotografii (nie naklejanych na karton) jest wskazany.

Przesyłki upraszamy adresować: *Redakcya „Nowości Illustrowanych“, Kraków XV., ul. Kazimierza Wielkiego l. 95.*

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor: Julian Bartoszewicz. Klisze własnego zakładu. Druk. D. E. Friedleina.